

Tekst nr 1

Św. Augustyn, *Wyznania*, przekł. Z. Kubiak, Warszawa 1982

Ks. I, 6

...To dzieciństwo moje dawno już umarło, a ja żyję. Ty zaś, Panie, żyjesz zawsze i nigdy w Tobie nic nie umiera. Przed początkami wieków, przed wszystkim, o czym można powiedzieć, że się stało wcześniej - Ty jesteś. I Bogiem jesteś, Panem wszystkiego, co stworzyłeś. W Tobie istnieją przyczyny wszystkiego, co niestałe, trwają niezmiennie podstawy wszystkich rzeczy zmiennych, żyją wieczne uzasadnienia wszystkiego, co nieobliczalne i co przemija w czasie. Ulituj się, Panie, nade mną biednym; racz mnie oświecić. Czy niemowlęctwo nastąpiło u mnie po jakimś okresie już umarłym? Czy tym poprzednim okresem był czas, gdy przebywałem w łonie matki? I o tym nieco się dowiedziałem; widzę też przecież kobiety w ciąży.

A przed tym okresem, jeszcze wcześniej? Panie mój, Panie umiłowany! Czy byłem jużgdziekolwiek? Czy byłem - już wtedy - kimś? Nikt mi nie może powiedzieć o tym - ani ojciec, ani matka, ani doświadczenie innych ludzi, ani własna pamięć. Może teraz, kiedy tak się dopytuję, Ty się uśmiechasz ... Bo pewnie żadasz, abym chwalił Ciebie i wielbił za to, o czym wiem. Wielbię Cię, Panie nieba i ziemi, dziękując Ci za początki moje i niemowlęctwo. Okresów tych nie pamiętam. Ale pozwoliłeś, aby człowiek wiele o sobie mógł wnioskować, kiedy się innym dzieciom przypatruje; a i u kobiet nieco się rozpyta.

Istniałem więc. Żyłem. I już pod koniec niemowlęctwa szukałem znaków, którymi mógłbym uczucia moje oznajmić innym. Skądże to, jeśli nie od Ciebie, Panie, mogłaby pochodzić taka istota? Czyż potrafiłby ktoś samego siebie ukształtować? Czy istnieje jakiśskądinąd biegnący kanał, przez który dociera do nas istnienie i życie? Nie!

Ks. II, 4. 6. 8

4. To pewne, Panie, że za kradzież jest kara na mocy Twego prawa, jak też prawa, które jest zapisane w sercach ludzi i którego nie wymazuje nawet największa nieprawość nasza. Jakiż bowiem złodziej spokojnie pozwoli na to, żeby ktoś inny go okradł - choćby on sam był zamożny, a tamten działał przynaglony nędzą. A ja zapragnąłem ukraść i ukradłem, bynajmniej nie biedą skłoniony, lecz tylko niedostatkiem uczciwości, wstrętem do niej i upodobaniem do występku. Ukradłem to, czego miałem już i tak za wiele, i to lepszego rodzaju. Zapragnąłem nie tej rzeczy, po którą wyciągnąłem złodziejską rękę, lecz samej satysfakcji kradzieży, grzechu. Oto w pobliżu naszej winnicy rośla grusza obsypana owocami, nie odznaczającymi się zresztą ani szczególnie pięknym wyglądem, ani zaletami smaku. Ja i paru podobnych

do mnie młodych nicponiów poszliśmy otrząsnąć gruszę i zabrać owoce. Było to późną nocą, gdyż zgodnie z naszym niechlubnym obyczajem przeciągaliśmy aż do tej pory zabawy na polach. Mnóstwo tego zgarnęliśmy, nie po to, by jeść, lecz ot - żeby rzucić świniom. Może coś tam z tego sami też zjedliśmy, lecz prawdziwą uciechą było czynienie czegoś, co było zabronione.

Serce moje, Boże mój, to serce, na które wejrzałeś miłosiernie, gdy było na dnie przepaści. Niech Ci teraz opowie, co je skłoniło do tak bezinteresownego zła. Jak to się stało, że do zła skusiło mnie samo tylko zło. Wstrętne było, a kochałem je, kochałem zgubę moją, mój upadek. Nie to, ku czemu upadłem, lecz sam upadek kochałem. Moja dusza nikczemnie wyrwała się spod Twojej opieki, biegnąc ku zatracie - nie przez hańbę ku czemuś, lecz ku samej hańbie tylko.

6. Cóż więc ja biedny w niej pokochałem, w tej nocnej kradzieży, popełnionej w szesnastym roku życia? Przecież nie była piękna, skoro była kradzieżą. Czy w ogóle jest czymkolwiek, do czego mógłbym przemówić, zadać pytanie? Piękne były owoce, któreśmy ukradli. Nic dziwnego - były przecież Twoim tworem, a Ty sam nad wszystko jesteś piękny, Stwórca wszechświata, Bóg dobry, Bóg będący dobrem najwyższym, prawdziwym dobrem moim. Dorodne były te owoce. Ale to nie ich zapragnęła moja dusza nieszczęsna. Miałem przecież znacznie lepsze owoce i miałem ich pod dostatkiem. Te zerwałem tylko po to, żeby ukraść. Zerwane porzuciłem, nasyciwszy się satysfakcją samego czynu złego. Jeśli nawet któryś z nich dotknął mego podniebienia, to smak nadawał mu występki. Zastanawiam się teraz nad tym, Boże mój, co mnie tak zachwycało w kradzieży. Nie ma w niej przecież żadnej piękności - nie mówię już o takiej, jaka jest w szlachetności i roztropności, ani też o tym, co jest urokiem myśli ludzkiej, pamięci, wrażeń zmysłowych, życia biologicznego, ani o piękności, jaką błyszczą gwiazdy w wyznaczonych im miejscach, jaką może nas zachwycać ziemia albo morze pełne żywych stworzeń, które ciągle nowe się rodzą na miejsce zamierających. Kradzież nie ma w sobie nawet takiej ułomnej, marnej urody, jaką nas zwodzą grzechy namiętności. (...)

8. Jakież to pożytek przyniosły mnie nędznemu kiedykolwiek uczynki, które teraz rumieniąc się wspominam, a szczególnie owa kradzież, w której cieszyłem się nią samą tylko, a niczym innym? Zresztą ona sama była też niczym, a ja się stałem przez nią tylko jeszcze nieszczęśliwszy. O ile pamiętam ówczesny stan moich uczuć, na pewno nie zrobiłbym tego bez kolegów. Zależało mi więc wówczas na wspólnocie z tymi, którzy razem ze mną kradli. To znaczy, że nie samą tylko kradzież kochałem, lecz i coś jeszcze - czy może raczej nic już więcej, bo przecież i to było niczym.

Jakże to jest naprawdę? Któż zdoła mnie pouczyć oprócz Tego jednego, który oświeca serce moje i rozprasza zalegające je cienie? Jakie wnioski mam wysnuć z moich pytań, badań, rozważań? Gdyby mi wówczas zależało na

gruszkach, które ukradłem, gdybym naprawdę chciał je mieć, toby mi wystarczyło samemu popełnić ten czyn zły i dzięki niemu osiągnąć przedmiot upragniony. Nie musiałbym sztucznie podniecać swego pragnienia przez ocieranie się o współników w tłumie. Ale te owoce w rzeczywistości wcale mnie nie cieszyły, cieszył mnie sam występki i wspólnota z innymi w występku.

Ks. V, 10

Także zło uważałem za substancję - za olbrzymią, bezkształtną, wstrętną masę materii, która mogła mieć postać stałą - wtedy manichejczycy nazywali ją ziemią - albo rozrzedzoną i ulotną jak powietrze. Według ich wyobrażeń zło w tej drugiej postaci jest złowrogą myślą przenikającą ziemię. A ponieważ nawet ta odrobina pobożności, jaka była we mnie, uniemożliwiała mi przyjęcie mnie mania, jakoby Bóg stworzyć mógł jakąkolwiek naturę złą, wyobrażałem sobie, że przeciwstawiają się sobie nawzajem dwie masy materii, przy czym obie są nieskończone, lecz zła w mniejszym, a dobra w większym stopniu. Z tej fatalnej pomyłki wynikały wszystkie dalsze błuźniercze wietrzenia. Ilekroć usiłowałem wrócić do wiary katolickiej, umysł mój się przed tym wzdragał, gdyż pojmował te wiary w sposób wypaczony. Teorie moje zmuszały mnie do uznawania, że jesteś skończony tylko pod jednym względem, mianowicie w takim stopniu, w jakim masa zła zdolna jest do przeciwstawiania się Tobie. O, Boże mój, którego miłosierna opiekę wspominam teraz przed Tobą! Skoro uważałem, że pod każdym innym względem jesteś nieskończony, wydawało mi się to pobożniejszym wierzeniem niż uznanie, że pod każdym względem ograniczają Cię zarysy ludzkiego ciała. Wołałem wierzyć, że nie stworzyłeś żadnego zła, niż przyjąć, że zło w takiej postaci, jak je sobie wyobrażałem, pochodzi od Ciebie. W niewiedzy bowiem swojej wyobrażałem sobie zło nie tylko jako substancję, lecz jako substancję konkretnie cielesną; bo i myśl wyobrazić sobie potrafiłem tylko jako rozrzedzoną materię rozpyloną w świecie. Także Zbawiciela naszego, jedyne Twojego Syna, pojmowałem jako wyłonionego w jakiś sposób z Twojej bezmiernie świetlistej materii ku naszemu zbawieniu; nie potrafiłem inaczej Go sobie wyobrazić niż tak, jak mi Go przedstawiały takie niedorzeczne pomysły. Uważałem, że taka natura nie mogłaby się narodzić z Maryi Dziewicy bez zmieszania się z ludzkim ciałem. Nie widziałem zaś możliwości, żeby natura ta, będąc taka, jak ją sobie wyobrażałem, mogła się z nim mieszać i nie zostać skażona. Wzdragałem się więc przed wiarą w Jego cielesne narodzenie, abym nie musiał wierzyć w to, że został ludzkim ciałem skażony. Ludzie natchnieni Twoim duchem będą sięlagodnie i miłosiernie śmiali ze mnie, czytając te moje wyznania. Ale ja taki właśnie byłem.

Ks. VI, 16

Z przyjaciółmi, Alpiuszem i Nebrydiuszem, często dyskutowałem o istocie dobra i zła. Moim zdaniem Epikur zasługiwałby na najwyższe uznanie, gdyby nie to, że - jak wierzyłem - dusza trwa po śmierci i otrzymuje nagrodę i karę, na jakie zasłużyła; a Epikur odrzucał taką wiarę. "Gdybyśmy byli nieśmiertelni - mówiłem - i mogli żyć w nie kończącym się stanie rozkoszy fizycznej, nie lękając się jej utraty, czemuż nie mielibyśmy być szczęśliwi? Czego jeszcze więcej moglibyśmy pragnąć?" Nie pojmowałem, na czym polegała moja prawdziwa niedola: na osunięciu się tak nisko i na takim zaślepieniu, że nie dostrzegałem już światła cnoty i piękności, jaką się kocha dla niej samej. Prawdziwą piękność dostrzega wewnętrzne oko duszy, a nie oko fizyczne. I nie zastanawiałem się nieszczęśnik nad tym, co było przyczyną, że te sprawy, same w sobie wstrętne, było mi słodko rozważać z przyjaciółmi i że nie potrafiłem być szczęśliwy - choćby w takim sensie, jaki był wówczas dostępny memu pojmowaniu - bez przyjaciół, niezależnie od tego, w jakie zmysłowe opływałem rozkosze. Przyczyną było odczucie, że przyjaciół kocham dla nich samych i oni mnie wzajemnie dla mnie samego kochają.

Ks. VII, 3

Usiłowałem więc pojąć to, co mi mówiono: że przyczyną czynienia zła jest wybór dokonywany przez naszą wolną wolę, a przyczyną doznawania zła jest Twój sprawiedliwy wyrok. Nie mogłem tego jeszcze zrozumieć z zupełną jasnością. Usiłowałem podźwignąć moją zdolność rozumienia z przepaści, w jakiej była pogrążona. Ale znowu spadałem w te odchłań. Znowu się dźwigałem w górę i znowu, znowu spadałem w dół. Podnosiła mnie ku światłu Twemu przynajmniej ta pewność: o tym, że ma wolę, wiedziałem z równą pewnością, jak o tym, że żyję. Ilekroć czegokolwiek chciałem albo nie chciałem, byłem całkowicie pewny, że to ja - a nie kto inny - chcę tego albo nie chcę. I już zaczynało mi świtać, że właśnie w woli jest źródło mego grzechu. Ilekroć bowiem czyniłem coś mimowolnie, odczuwałem, że raczej doznaję, niż czynię; a to, czego doznawałem, uważałem nie za winę, lecz za karę. Ponieważ zaś uznawałem Ciebie za sprawiedliwego, natychmiast stwierdzałem w duchu, że słusznie odbieram chłostę.

Ks. VII, 5

Lecz szukając, skąd wywodzi się zło, źle szukałem. Nie umiałem dostrzec zła, jakie tkwiło w samym moim sposobie badania. Przed oczyma ducha stawiałem sobie całe stworzenie - zarówno to, co możemy zobaczyć: ziemię, morze, powietrze, gwiazdy, drzewa i żywe istoty śmiertelne, jak i to, czego ujrzyć nie można: utwierdzenie nieba w górze, wszystkich aniołów, wszystkie duchowe byty nieba. Lecz także te byty, jakby były ciałami, umieszczała w takich a takich miejscach moja wyobraźnia. Całe Twoje stworzenie wyobraziłem sobie jako wielką masę składającą się z różnych rodzajów ciał -

niektóre z nich rzeczywiście były ciałami, a niektóre tylko w mojej wyobraźni zastępowały byty duchowe. Pojmowałem tę masę jako olbrzymią, nie mogąc oczywiście znać jej rozmiarów, lecz wyobrażając ją sobie jako dowolnie wielką, chociaż we wszystkich kierunkach ograniczoną. Ciebie zaś, Panie, pojmowałem jako ogarniającego ją ze wszystkich stron i przenikającego ją w każdej części, a zarazem pod każdym względem nieskończonego. Tak jakby rozlewało się wszędzie morze i nie było nic innego oprócz bezmiernego, nieskończonego morza, a gdzieś w jego obrębie byłaby gąbka, wielka, lecz jednak ograniczona, napełniana we wszystkich swoich częściach przez owo bezmierne morze. Tak sobie wyobrażałem napełnienie ograniczonego Twojego stworzenia Tobą bezgranicznym. Mówiłem sobie: oto Bóg i oto co stworzył Bóg. Dobry jest Bóg i bezwzględnie lepszy od wszystkiego, co stworzył. Lecz dobrym będąc stworzył dobra i w taki oto sposób ogarnia je i napełnia.